



Krzysztof Czyżewski  
i Stanisław Barańczak  
w Newtonville, 2003 rok.  
Fot. Irena Grudzińska-Gross

## KRZYSZTOF CZYŻEWSKI

# Barańczak – rozszerzający się horyzont

**Barańczak zmarł.** Za czas jakiś nikt już nie da wiary w istnienie tej Atlantydy – człowieka spoza granic wyznaczonych przez miarę ludzkich sił i systemy władzy. Stanisław obejmuje horyzont – wzrokiem spoza wielkich okularów patrzącym prawdzie w oczy, myślą sprzeciwu i nieufności, sercem. Horyzont jest zwojem, jak papier ze zmiażdżonych włókien roślinnych. Rozwija go na całą szerokość swoich ramion i dalej. Tak żył – na całą szerokość swoich ramion i dalej. A ramiona miał pojemne, jak przystało na istotę dobroduszną, ale też pokaźnej postury.

Takim go pamiętam z pierwszych spotkań w Poznaniu w połowie lat siedemdziesiątych. Ciało miał ułożone raczej do tego, aby kłaść kamień pod obróbkę dłuta, niż wystukiwać maleńkie litery na maszynie. Pierwsze tomiki wierszy mieściły się całe w jego dłoni, *Korekta twarzy* ciągle mi ginie na półce, prawie niewidoczna. Jeszcze mniejszy w mojej bibliotece jest tom *Ja wiem, że to niesłuszne*, wydany przez podziemny KOS. Małe tomiki wierszy, które w czytaniu, w recytacji, na wieczorze autorskim zaciskały się w piąstkę niesforne go poety o potężnej sile bezkompromisowego głosu. Nie w pięść, która bije na oślep, a właśnie w piąstkę, o której się mówi, że można przyłożyć do drugiej na znak walki we wspólnej sprawie. Spotkanie z nim rozpoczęło się od ufnego spojrzenia przyzwalającego światu i ludziom, od ciepłego uścisku dłoni, ale wystarczyło, że otwierał w dłoni wiersze, albo zaczynał mówić, jak na spotkaniu z redakcją „Zapisu”, albo na wykładzie o zniewoleniu języka, byśmy zaraz razem z nim znaleźli się w przestrzeni agonu, w której język nabiera

mocy sprzeciwu i walki o wiarygodność świadectwa. Właśnie ta przemiana małego i serdecznego w ostrze ciętej ironii i nonkonformizmu ujawniała pierwszy rys charyzmy, która tak silnie oddziaływała na duszę młodego poznańskiego recytatora. Miał „wystające zębra, co drą aksamit”. Święte słowa z wiersza *Wzruszenie*, otwierającego debiutancką *Korektę twarzy*.

Wtedy, czyli około połowy lat siedemdziesiątych, było to tak: w skrzydle poznańskiego Pałacu Kultury, dziś zwanego Centrum Kultury „Zamek”, była Wieża Zegarowa. Na samym jej dole, w piwnicy, mieścił się studencki klub „Od Nowa”. Na samej górze był strop podziurawiony potężnymi spiżowymi dzwonami, jeszcze z czasów zamku cesarskiego, zerwanymi podczas wojny, a potem pociętymi na kawałki, z których odłano między innymi pomnik Kościuszki. Pomiędzy była tak zwana Sala Kominkowa, w której – obok innych wydarzeń – odbywały się turnieje sztuki recytatorskiej, a w istocie wolnościowe spotkania, na których poprzez poezję można było wypowiedzieć cały swój młodzieńczy bunt. Byłem wśród tych recytatorów od kiedy w moim „Paderku”, czyli liceum nr 6, pojawił się Michał Grudziński, aktor Teatru Nowego, angażując mnie w mówienie poezji i w teatr amatorski, i od kiedy zaopiekował się mną Henryk Dąbrowski, aktor teatrów „STU” i poznańskiego „Marcinka”, który w Pałacu był prawdziwym strażnikiem etosu niezależnej i ambitnej sztuki amatorskiej. W tym naszym środowisku poezja Barańczaka była w wysokiej cenie. Znałem wiele jego wierszy na pamięć (podobnie jak Ryszarda Krynickiego), czytałem jego teksty w poznańskim „Nurcie”,

ale oczywiście nie znałem go osobiście. Choć byliśmy sąsiadami. Podwórko domu, w którym mieszkał przy ulicy Kościuszki było podwórkiem moich kolegów i koleżanek ze szkoły podstawowej; stamtąd do ulicy Libelta szło się już tylko kilka kroków, a potem skręcało się w lewo i tam zaraz stał mój dom. Topografia wielu jego wczesnych wierszy rozpięta między placem Młodej Gwardii a Stalingradzką jest też topografią mojego młodzieńczego świata.

**Barańczak bywał w „Od Nowie”.** Działał tam Teatr Ósmego Dnia, z którym w początkowej fazie pozostawał związany jako kierownik literacki. Byłem jeszcze szczawikiem, kiedy do jego tekstów powstał słynny spektakl „Jednym tchem”, o którego legendzie do nas tam na górze dochodziły jedynie słuchy. Od 1976 roku, kiedy powstał KOR, do spektakli awangardowego teatru, koncertów jazzowych i niezależnego kina, tam na dole doszły jeszcze spotkania z członkami opozycji demokratycznej, której Barańczak był jednym z liderów. My nie mieliśmy jeszcze do tego świata wstępu. Do klubu wpuszczano za okazaniem legitymacji studenckiej. Na szczęście na to wejście nie musiałem czekać aż do chwili zdobycia indeksu. Studentki polonistyk, które miały w moim liceum praktyki, postarały się o bilet dla mnie, a ponieważ posiadacz legitymacji mógł wejść z osobą towarzyszącą, więc dostałem się do mitycznego wnętrza. Był środek nocy, Ósemki grały spektakl *Musimy poprzestać na tym, co nazwano rajem na ziemi* – jedno z moich najważniejszych przeżyć teatralnych. Padały słowa Dostojewskiego, ale też Miłosza, o czym dowiedziałem się dopiero po latach. Potem siedzący pod ścianą z gitarą Jacek Kelus zaczął śpiewać, w tym *Piosenkę znad sufitu* Barańczaka. Częstowano wódką, nie dałem się namówić.

**Barańczak zwolniony.** Taka wieść złowieszczą niosła się po uniwersytecie w 1977 roku. Dostałem się właśnie na poznańską polonistykę, co było zaszczytem. Tych, którzy odpadli przy egzaminie wstępnym, ratowały studia prawnicze, mające wówczas nieporównanie niższy prestiż. Barańczaka objęto zapisem cenzury i zawieszono, a potem zwolniono z pracy na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Był już wtedy sygnatariuszem „Listu 59” protestującego przeciwko zmianom w Konstytucji (głównie dotyczącym przewodniej roli PZPR i sojuszu z ZSRR) i członkiem KOR-u. Mój kolega z roku Andrzej Wilowski zbierał podpisy pod listem protestacyjnym. Przyniosło to skutek dopiero w czasie pierwszej „Solidarności”, kiedy mogliśmy słuchać wykładów Barańczaka

o nowomowie i cenzurze. Sala wykładowa w Collegium Novum nie mieściła wszystkich chętnych, więc część słuchała przez otwarte drzwi z korytarza. Pierwsze podziemne wydawnictwa, które dostałem niczym tajemny skarb od kolegi z pierwszego roku, Tomka Tórza, to były wydane przez NOW-ą *Późne wiersze* Mandelsztama i *Wiersze i poematy* Brodskiego w przekładach Barańczaka i z jego znakomitą przedmową. Razem z Tomkiem i Andrzejem trafiliśmy do grupy, której opiekunką była Anna Barańczak, prowadząca z nami zajęcia z literatury współczesnej. Nie byliśmy pilnymi studentami – oni tworzyli Studencki Komitet Solidarności (SKS), ja coraz częściej wyjeżdżałem do Gardzienic tworzyć teatr daleki od polityki. W działalność opozycyjną mocno zaangażował się mój brat Piotr, który został liderem NZS-u na poznańskiej Akademii Medycznej, i to na jego prośbę przygotowałem do druku w ich podziemnej oficynie dwa tomy poezji: *Wybór wierszy* Miłosza i *Sztuczne oddychanie* Barańczaka.

**Barańczaka lekcja języka.** Nauczyłem się od niego starania o to, by być gospodarzem języka, a nie jego intruzem czy niewolnikiem. Uświadomił mi, w jak ogromnym stopniu język stanowi o naszym życiu. Działo się to w epoce PRL-owskiej cenzury i nowomowy. Dzisiaj z języka chcą mnie wykluczyć, albo przez język sprawować władzę nade mną media, rynek i ideologie – nowe i te stare, których śmierć przedwcześnie wieszczono. Dlatego język stał się jedną z podstawowych pracowni „Pogranicza” – staramy się odebrać monopol, jaki miały na nim i ciągle mają nacjonalizm i religijny fundamentalizm, odrodzić język dialogu, który buduje wspólnotę różnych ludzi żyjących razem. Na pograniczu język, który staje się tylko produktem (*ergon*), łatwo może zostać zawłaszczony i w konsekwencji zniewolony. Życiodajna jest *energeia* – język rozumiany jako otwarte działanie, jako stawanie się w obcowaniu z innym. To rozróżnienie, za Humboldtem, przywoływał Barańczak już w doktorskiej dysertacji poświęconej Białoszewskiemu<sup>1</sup>. Jako istotny drogowskaz w swoich dalszych poszukiwaniach autentycznego języka wskazywał wers z poematu Miłosza *Sześć wykładów wierszem*: „Prawdziwy wróg człowieka jest uogólnienie”. Tworząc „Pogranicze”, szukałem tego, co konkretne – miejsca na długie trwanie, małej ojczyzny, bliskiej ciała i realnego doświadczenia historycznego, kultury powracającej ze sceny wielkich *eventów* do tego, co organiczne. Czynię to w dalszym ciągu z przekonaniem, że w tym jest moc dająca odpór Uogólnieniu i Wielkiej Liczbie.



**Barańczak wyjechał.** Był marzec 1981 roku. Basia Miczko z poznańskiego radia zdążyła tuż przed wyjazdem nagrać z nim rozmowę w ich nowym mieszkaniu na osiedlu Kopernika, w której utrzymywał w mocy swoje przekonanie, że poezja jest nieufnością. Sławiści z Harvardu zaprosili go na cykl wykładów, ale w grudniu wprowadzono stan wojenny, a potem władze PRL-u nie przedłużyły mu paszportu. Bardzo byłem tym poruszony, w tym sensie, że trudno mi było wyobrazić go sobie jako emigranta, tak silnie w moim przekonaniu był „swój” w tym, co „nasze” i „tutejsze”. Jeśli istniała wtedy dla mnie jakaś autentyczna poezja „patriotyczna”, to były nią w pierwszym rzędzie wiersze właśnie Barańczaka, a zwłaszcza wiersz *Tutejszy*, zamykający cykl *Osaczyć w locie* z tomu *Korekta twarzy*, rozpoczynający się słowami:

*Tak chcę się w nim osadzić jak śruba  
wkręcająca się w drewno, żywiona  
naporem stojów –*

*co to za kraj, którego  
powtarzam imię: nie wiem dokąd w nim płowieją  
drogi, wiem tylko ich początki, ścięte  
małym nade mną kloszem; wiem, jak z zewnątrz  
krew ich gałęzi poprzez mnie pulsuje. [...]*

To, co następowało dalej, było jak wyrocznia karbująca piętnem losy nasze, nie tylko jego, przy której odczytywaniu również dzisiaj, tak jak wtedy, czuję dreszcz biegnący po kręgosłupie:

*Do jego liści przyłgnąłem stopami,  
wchłonąłem skórą jego deszcz, mówiłem  
słowami, co do niego należą. Liście  
zatrzasnęły się na moich stopach,  
deszcz rozkrzyżował ramiona, język nie chcąc  
idzie torem tutejszych. [...]  
Kiedyś zamknę się wokół ciała tego kraju  
i ono może mnie uchwyty jak rękojęść.*

Z końcem 1983 roku odszedłem z Gardzienic i powróciłem do Poznania. Pod przewodnictwem Rafała Grupińskiego, wspólnie z Darkiem Gościńskim, Andrzejem Piątkiem i Anką Grupińską zabraliśmy się za tworzenie podziemnego pisma, nad którym operacyjnie pieczę miał sprawować Ryszard Czapara i Solidarność Walcząca. Prowadziliśmy trudne rozmowy z Jackiem Kubiakiem i Włodkiem Filipkiem nad jego profilem merytorycznym. Oni wydawali już mocno polityczne pismo „Czas”, a my chcieliśmy odpolitycznić kulturę, obejmować szerszy horyzont niż tylko ten „necen-

zuralny”, choć ich pytanie „dlaczego mamy narażać ludzi w podziemiu dla mistycznych tekstów Bubera czy sceptycznej mądrości Seneki?”, ciągle nad nami wisiało. W końcu zgodziliśmy się wszyscy, że jest pora na „Czas Kultury”. Publikowałem w nim pod pseudonimem Tomasz Wolski. Tekst od redakcji napisany przeze mnie do pierwszego numeru, który ukazał się w 1985 roku, w istocie mógłby zostać uznany za pierwszy tekst programowy „Pogranicza”, tak silny pada w nim akcent na wielokulturowe dziedzictwo jagiellońskiej Rzeczypospolitej oraz potrzebę odbudowania relacji z sąsiadami i mniejszościami po spustoszeniach dokonanych przez nacjonalizm i totalitaryzm. Wkrótce Rafał z Anką wyjechali na roczne stypendium do Ameryki, pozostawiając mnie na poznańskim gospodarstwie. To wtedy Rafał przeprowadził w Harvardzie rozmowę z Barańczakiem, którą opublikowaliśmy w numerze trzecim „Czasu Kultury” z 1987 roku. „Ilekroć słyszę, że jestem emigrantem, mam wrażenie, że mowa jest o kimś innym” – powtarzał, dodając, że nie wyjeżdżał z kraju z zamiarem emigracji i że nie potrafi porzucić nadziei powrotu do Polski.

**Barańczak buduje bastion.** Chodzi oczywiście o bastion literatury polskiej w Ameryce, czyli o krąg studentów, tłumaczy, naukowców, pisarzy i czytelników, którzy wzrastają w promieniu jego nauczania i tworzenia. Pierwszy taki bastion zbudował na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley Czesław Miłosz. I to on sam przyznawał w rozmowie z Clare Cavanagh, jedną z pierwszych wspaniałych uczennic profesora slawistyki z Harvardu, że istnieje już w Ameryce Szkoła Barańczaka<sup>2</sup>. Choć wielu z nas wyczekiwało powrotu „naszego” Barańczaka do Polski, to jednak nie ulegało dla nas wątpliwości, że tam za oceanem rozwija on swój horyzont jeszcze szerzej, że znalazł tam swoje miejsce, potrzebne zarówno nam, jego czytelnikom, jak i literaturze polskiej, że tam jest również „nasz”. Zresztą „co to znaczy «przebywać gdzieś»? – pytał siebie w rozmowie z „Czasu Kultury” – W wypadku kogoś, kto tak jak ja, swój cel życiowy widzi w pisaniu dla polskiego czytelnika i pracy dla polskiej literatury, ważniejsze od geograficznej lokalizacji jest i tak to, że «przebywa się» w języku, na kartkach książek”. Potrzebowałem czasu i tych jego słów, aby dotarło do mnie, że tutejszość nie musi być geograficzna, i że wygnańcy, w tym zwłaszcza pisarze, ojczyznę swoją znajdują w języku. Beneficjentami istnienia tych bastionów literatury, a i szerzej – kultury polskiej, byli mieszkańcy Ameryki, ale także w ogromnej mierze krajowi „tubylcy”. Sam się o tym przekonałem, razem ze swoim zespo-

łem. W październiku 1991 roku Miłosz napisał list do Barańczaka, w którym polecał jego uwadze działalność Fundacji i Ośrodka „Pogranicze” w Sejnach. Owocem starań ich obu była nagroda Fundacji Polcul, która bardzo nam pomogła w początkach naszej działalności. List ten, odnaleziony niedawno w archiwum noblisty w Bibliotece Beineke na Uniwersytecie Yale, to z pewnością jedynie maleńki okruch ogromu zaangażowania i pracy obu poetów na rzecz ludzi i idei, którym poświęcili życie.

**Barańczaka lekcja o Settembrinim.** Są takie ślady przez niego pozostawione, które śmierć poety jedynie uwydatnia. Jest nim niewątpliwie spoiwo, jakie zbudował dla poezji i etyki, krytyczne, dalekie od moralizatorstwa i doraźnego upolitycznienia, a jednak nie wyrzekające się służby drugiemu człowiekowi za cenę wolności twórczej. Nauczyłem się od niego łączyć własny indywidualizm z etosem wspólnoty. Tryb dokonany jest w tym przypadku niepoprawny – nieustannie uczyć się rozwiązywać ten węzeł gordyjski świata zachodniego, który szczyci się kulturą wolności jednostki. Fascynowało mnie to już wtedy, kiedy czytałem lekturę obowiązkową poznańskiej polonistyki, czyli *Język poetycki Mirona Białoszewskiego* Barańczaka. Tajemnicą indywidualnej „M’ironii” była sztuka życia sprawiająca, że poeta „wprawdzie stoi z b-o-k-u, ale jednak nie p-o-n-a-d tym, co społeczne i powszechne”<sup>3</sup>.

*Signum temporis* nowej epoki, na której progu żyjemy, świadomej wyczerpania dawnych modeli życia i zatrważająco niepewnej co do swojej przyszłości, jest rosnąca aktualność książek napisanych w epoce totalitarnego reżimu i reżim ten bezlitośnie obnażających. Dotyczy to *Zniewolonego umysłu* Miłosza, który czytany dzisiaj, uświadamia istnienie Ketmana i pigulek Murti-Binga w świecie wolnego rynku, politycznego populizmu i kulturowego konsumpcjonizmu. Dotyczy również *Etyki i poetyki* Barańczaka, a zwłaszcza zamieszczonego w niej eseju *Zmieniony głos Settembriniego*. Dzisiaj jest może jeszcze trudniej niż w połowie lat siedemdziesiątych zeszłego stulecia podjąć się obrony Settembriniego. Wobec potężniejszego milionkrotnie głosu Naphty, cynicznie drwiącego ze słabych i – jak to się teraz mówi – hardcorowego, za którym stoją rzesze wyznawców, głos jego rozmówcy z *Czarodziejskiej góry*, broniący wiary w człowieka i siłę jego rozumu, wydaje się tym bardziej śmieszny. O współczesnej wadze tekstu Barańczaka nie decyduje jednak to, że podejmuje się on obrony Settembriniego, że w jego ledwie słyszalnym głosie dosłuchuje się głosu współczesnej sztuki i poezji, a nawet nie to, że konsekwen-

tnie sprzeciwia się postawie Naphty. Decyduje to, że Barańczak każe Settembriniemu się zmienić! Fundamentem jego etyki nie ma być jego wolność indywidualna ani też nadrzędny autorytet, lecz drugi człowiek, zawsze z nim równoprawny. Bez tej solidarności z bliźnim, nigdy nie stanie się prawdziwie wolnym. Bliźni, o którym tu mowa, to nie „Człowiek z dużej litery, którego abstrakcyjnym imieniem chętnie szafował powieściowy Settembrini, ale człowiek konkretny, ten, który właśnie w tej chwili umiera w okopie, osuwa się pod ścianą straceń, chowa w dłoniach spoliczkowaną twarz, płacze w poczuciu poniżenia i opuszczenia”<sup>4</sup>. Settembrini Barańczaka mądrzeje po epokach wielkiej cielesnej zagłady i wielkiego duchowego zniewolenia, nie wierzy już tak ślepo w świetlane jutro ludzkości i w przyrodzoną dobroć człowieka, a przede wszystkim potrafi połączyć wierność daimonionowi poezji z wiernością etosowi solidarności.

**Barańczak walczy z chorobą.** Trudno mi sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy usłyszałem, że ma Parkinsona. Z pewnością jednak ta kolejna złowieszcza wieść, tym razem zza oceanu, była o tym, że walczy, a nie, że choruje. A walka trwała bardzo długo, blisko czterdzieści lat. Żartował, że jest najdłużej żyjącym „parkinsonowcem” na świecie. Do tego człowiekiem oddanym tworzeniu, przekładom, nauczaniu.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałem na Harvard w 2007 roku, Staszka już tam nie było. Miałem wykład u niego na slawistyce, potem rozmowy – i wszędzie wciąż czuło się jego obecność. Była przede wszystkim Ania, były jego miejsca pracy i rozmowy z ludźmi, z którymi pracował, byli jego studenci i ich opiekunka, a jego wychowanka, Joanna Niżyńska. A potem pojechaliśmy z Ireną Grudzińską-Gross do domu Barańczaków w Newtonville koło Bostonu. Byłem tam już kilka lat wcześniej i miałem podobne doznanie, które i tym razem stało się dojmujące – w tym domu nie czuło się choroby, a przynajmniej gospodarze robili wszystko, aby nie obciążać nią gości. Mogliśmy być razem ze Staszkiem przez godzinę. Z nutą radości w głosie powiedział, że każdego dnia może jeszcze przez godzinę pracować. Ta godzina kosztowała ogrom wysiłków, zabiegów, przygotowań, aby wydrzeć chorobie czas koncentracji na tworzenie i bycie z innymi. Z ochotą w tym czasie żartował, w oczach miał figlarne iskierki, które jednak po chwili gasły. Czytał nam swoje kongenialne przekłady poezji nonsensu z antologii *Pegaz zdębiał!*, a w pokoju unosił się duch limeryku Ogdena Nasha: „Reguła prosta, że aż ośłupia: / Kto się wymądrza, ten się wygłupia.”



**Barańczak rozszerza horyzont.** Gdy go poznałem, był w pełni sił twórczych i życiowych. Otaczała go aura śmiertelnie poważnego wyzwania, które rzucał światu i sobie (a ironia tylko tę aurę potęgowała). Bez wahania i z żelazną konsekwencją rozszerzał „tutejszy” horyzont na całą rozpiętość swoich wolnych ramion i dalej. Za Aleksandrem Watem uczył nas, którzyśmy się odnaleźli na wspólnym z nim polu walki, że nie wystarczy sam bunt wobec świata, że trzeba „uwierzytelnić swą nieprzynależność”. Podczas ostatniego spotkania obcowałem z człowiekiem pożerany przez śmiertelną chorobę, na progu zaniku sił fizycznych i psychicznych, którego otaczała aura poezji niepoważnej i filuternego igrania z nonsensem świata, jakby nad ciemną przepaścią taniec pszczoły z żądłem ironii. Jego ciało kurczyło się, prawie znikał w fotelu, w którym siedział. Wydawało się, że choroba nie pozwala mu na dalsze rozwijanie horyzontu, że rozpiętość jego ramion maleje, że staje się to zdecydowanie za wcześnie, że tyle mógłby jeszcze zrobić. Tak myślałem jadąc w odwiedziny do ich domu. Tymczasem w jego i Ani bliskości ogarnęło mnie zaskakująco inne odczucie – jego ramiona, na przekór swej fizyczności, obejmowały więcej, coraz więcej. Nie była to kwestia jeszcze jednego przekładu dzieła Szekspira, dopełniającego opus, ani nawet kolejnego wiersza. Staszek był już poza poezją i poza wymiernymi dokonaniem składającymi się na dorobek pisarza i uczonego. Nie tworzył już niczego, co można by dodać do hasła „Barańczak” w encyklopedii. A jednak nadal rozszerzał horyzont, razem z żoną Anną, co koniecznie trzeba podkreślić.

Tak, od pewnego momentu naszej drogi – nawet tej najbardziej indywidualnej – nie postąpimy ani o krok dalej bez udziału drugiej osoby.

Z Newtonville widać było dalej. „Nikt” z *Psalmu Cielana*, który Stanisław Barańczak zamieścił w swoim przekładzie na końcu *Dziennika porannego*, spotykał się teraz z „jakimś Ty” z *Widokówki z tego świata*, któremu stawia się niewygodne pytania w rodzaju: „Mów jak Ty się czujesz / z moim bólem – jak boli / Ciebie Twój człowiek”. I dalej toczy się ta rozmowa istotna, wytrwale rozszerzająca horyzont i coraz głębiej sięgająca trzewi człowieka, na marginesie której poeta tylko notuje: „w międzyczasie umieram”<sup>5</sup>.

1 S. Barańczak, *Język poetycki Mirona Białoszewskiego*, Wrocław 1974, s. 15.

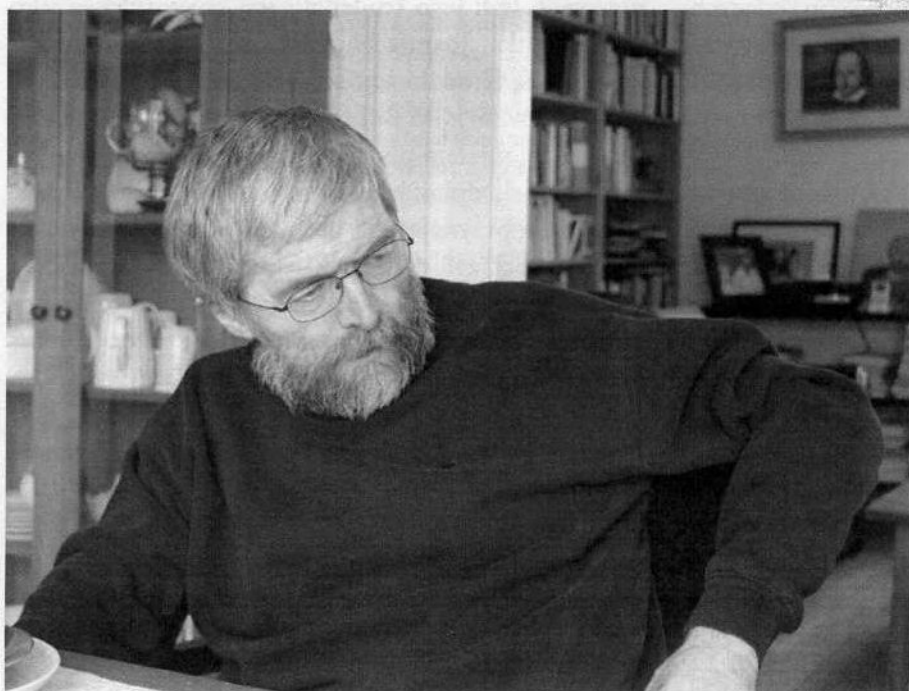
2 *Polska szkoła poezji* („Rzeczpospolita” 2001, nr 17), [w:] C. Miłosz, *Rozmowy polskie 1999–2004*, Kraków 2010, s. 296.

3 S. Barańczak, *Język...*, dz. cyt., s. 174.

4 S. Barańczak, *Etyka i poetyka*, Kraków 1996, s. 74.

5 S. Barańczak, *Jakieś Ty*, wiersz z tomu pt. *Widokówka z tego świata*, Paryż 1988.

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI (ur. 1957) – praktyk idei, eseista, poeta; współtwórca i szef Fundacji Pogranicze, Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach oraz Międzynarodowego Centrum Dialogu w Krasnogrudzie; redaktor naczelny pism: „Krasnogrudy” i „Almanachu Sejneńskiego” oraz Wydawnictwa Pogranicze (prowadzi serie Meridian oraz Sąsiedzi). Opublikował: *Ścieżkę pogranicza* (2001, 2. wyd. 2013), *Linię powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Miłosz. Tkanka łączna* (2014). W 2013 roku otrzymał Nagrodę Dana Davida – jedną z najważniejszych w humanistyce.



Stanisław Barańczak  
w Newtonville, 2007 rok.  
Fot. Krzysztof Czyżewski